



Stefan Żeromski
(1864 — 1925)

Puszcza Jodłowa (1926)

W uszach moich trwa szum twój, lesie dzieciństwa i młodości, — choć tyle już lat nie dano mi go słyszeć na jawie! Przebiegam w marzeniu wyniosłe góry — Łysicę, Łysiec, Strawczaną, Bukową, Klonową, Stróżnę — góry moje domowe — Radostową i Kamień — oraz wszystkie dalekie siostrzyce. Nie ja to już, człowiek dzisiejszy, wciągam zdrowymi płucami tameczne powietrze, kryształ niewidzialny, niezmierzone, nieskazitelne, przezyste dobro, — zimne, nie skalane oddechem, zgnilizną, brudem, pyłem, — lecz ktoś inny, kogo już dawno nie ma, młodzieniec, który niegdyś w mym jestestwie przebywał. Nieraz mi się wydaje, że go wcale nie było, że to po prostu jedna ze zmyślonych figur, które wynajdywać w nicości, tworzyć, kształtować i pokazywać ludziom za pomocą pisaniny było moją manią od dzieciństwa — że to Rafał albo inny jaki bujał niegdy tamoj po górach. Tamten ja, miniony i nieistniejący, z bronią na ramieniu, nachyla się nad burzliwą, kipiącą wieczyscie wodą źródła świętego Franciszka i przegląda się w jego czystej powierzchni, czystej, jak lza, ażeby ze swego odbicia czynić wnet przedmiot baśni, bohatera, postać nie istniejącą a najbardziej bliźnią, *quidam* tajemnicze, byt dwunogi, godny wieloaktowego dramatu albo godny epepei w dziesięciu pieśniach. Tamten siaduje nad brzegiem wartkiego strumienia, co ze źródła świętego Franciszka wybiega, co śmiga w dół i snuje się po kamieniach. Tamten wysłuchał, jaki to puszcza szeroka wydaje głos za wiatrem przypadającym i odchodzącym, a mnie o tym przez całe moje nędzne życie podaje wieść.

Znawcy dziejów ziemi, co jak niedosięgłe krety bobrują po warstwicach skorupy, latają niczym ptaki po lądach i morzach przeddziejów, a skaczą po tysiącleciach chyżo i pewnie, wmawiają we mnie, że zburzyszczę na szczycie Łysicy osędziałe od mchów, utkane paprocią i kwieciem, że kwarzec świetlisty od miki i połyskliwy od górskiego kryształu, co w szczycie pasma zalega — tai w sobie odgnioty wielkookich raków morskich, zagrzężyłych ongi w piachach tego przed wiekami wybrzeża oceanu północy. Tak jest czy inaczej, — niechże oni zajmują się tymi pośmiertnymi raków dziejami. Ja śmierci nienawidzę. Uwielbiam nowe życie tej

krainy, choćby ta jego nowość sięgała pierwszego porostu trawy morskiej na tym raczym cmentarzu. Widzę jeszcze dziecięcymi oczami wielkie raki żywe, stwory czarne o formie dziwacznej, straszącej wyobraźnię dziecięcą, jak suną po jasnym, gliniastym dnie potoku, co z mej góry rodzimej spada w rozpędach, zakrętach, półkolistych obiegach i nagłych w dół popławach. Soczyste nad nim trawy, kaliny, tarki, wilcze łyko i bujne łądygi, wewnątrz puste, wielkimi liśćmi nakryte, których pień łyczkiem cienkim obciążony tak się świetnie nadaje do wciągania w usta lodowatej wody ze źródła, wody, co łupie w zębach. Zarośla z brzegu na brzeg przerzucone splatają się między sobą. Chmiel je obwija, a przetykają leśne maliny. Srokosze w ich gęstwinie kują swe dzwonne pieśni, a zatajona kędyś kukułka bawi się w chowanego z rozbawioną, z rozigraną dziecięcą duszą. Czarne cienie jodeł kołyszają się rytmicznym tanem na wiosennej murawie bezmiarem kwiatów zasłanej. Wielorakobarwne, nakrapiane i pisane motyle latają z miejsca na miejsce, jakby szukały tego tajnego schowania, gdzie się kukułka ukryła. Dzwonny szmer ponika wyrywa się z łożyska, chcąc się do zabawy przyłączyć, lecz żywe jego wody, porozdzierane przez głazy na liczne strumienie, muszą uciekać, uciekać w dolinę. Migocą tam w słońcu, mieniają się, połyskują, błyszczą, — obraz wieczny jedyne prawdziwego szczęścia, istotnej, niepodzielnej i skończonej radości życia. O, potoku, potoku, gdzieżeś to poniósł, gdzieżeś to podział tamte wody!...

Zaznajomiłem się był dobrze w ciągu wielu młodości lat z wodami żywymi tej leśnej Nidy, co się z czystych potoków w bujną rzekę rozrasta. Obejmowała mię niegdyś przychylnym, lodowatym ogarnięciem, gdym się w jej czarne głębie ufnie rzucał po twardym, po kamiennym śnie, skoro tylko świt za szczytem Łysicy niebo zrumienił. Nosiła mię na łonie swym, jak dobra matka, gdym pływał stojąc, nawznak, na piersiach i na bokach. Wyrzucała mię z wnętrza swego na powierzchnię siłą potężną głębin niezgruntowanej, najeżonej rosochatymi kłodami drzew puszczy ongi zwalonych, w dno wrosłych, — gdym zbyt długo nurkiem po jej tajnikach chodził. Znałem się wówczas na obyczajach i naturze ryb, na chytrłości, mądrości i instynkcie dzikich kaczek, cyranek, bekasów, kurek wodnych, grzywaczy i jastrzębi. Przeszpiegami i chytrą ludzką odpowiadałem na przespiegi i obronne sposoby rogaczy, lisów i zajęcy. Byłem myśliwcem i rybakiem, — z nazwy zresztą bardziej niż ze skutecznego efektu łowieckich zabiegów. Byłem bowiem największym (bo jedynym) na całe Świętokrzyskie Góry poetą udającym myśliwca i rybaka. Miałem w sobie lekkość lisa, nogi jelenia i jak gdyby skrzydła bekasa u ramion. Pisałem swe marne wiersze w lasach i wertepach, — w ciągu długich letnich deszczów pod cieniem olchy obwisłej w nadnidziańskim smugu, — pod daszkiem brogu na wilkowskim ugorze, — oraz w leśnych kapliczkach obok klasztoru Świętej Katarzyny.

Układałem dramaty, już wówczas niesceniczne i chybione, z powstańczych legend tego zapadłego kraju, gdzie jeszcze był nie wytchnął ślad stopy skrwawionej pokonanych bojowników, — gdzie jeszcze ściany przydrożnej austeryi czarne były od

kul i podziurawione jak rzeszoto, a każdy człowiek dojrzały, co krwawe czasy przeżył, tylko o nich mówił, kładł je w moje uszy jak do składu, — a czasem tym dzielił na części swe życie przed i popowstaniowe. Układałem nieskończone i, oczywiście, źle zbudowane powieści o chłopie Marku z Krajna, co w powstaniu własną swoją, chłopską partią dowodził, i wyciągałem epos o przeklętym i wyklętym zdrajcy z tejże wsi, — Janicu — co za wydanie spisku Ściegiennego, — chwały naszych czarnych lasów, — ordery, pięć kolonii w nagrodę otrzymał, a sam rozpił się, na dziada zeszedł i w przydrożnym sypiał rowie.

Widzę cię we wspomnieniu, świątynko mała, dawnego eremity domku, kołysko moich, — żal się Boże! — poezyi...

Otoczona zewszachstron płotem z żerdzi jodłowych, stoisz pośrodku łąki pachnącej. Drzwi twe dawno spróchniały, zamek ich zardzewiał i już nie spaja połowic. Wiatr, nie znoszący tajemnicy i zamknięcia, rozwalił je we dwie strony, przyparł do ścian i raz na zawsze otworzył. Zgniły i zapadły się drzwi w podłodze, prowadzące do sklepu pod ziemią. Oglądaj każdy, ktoś ciekaw, co tam jest w głębi! Leżą na dnie wyschłe, suche, w zbutwiałej trumnie zwłoki niewiadomego polskiego rycerza. Jest to może ten sam rycerz, co na żelaznej pięści podparty, a przyłbicę zamczystą mając u wezgłowia, śpi na marmurowym pomniku w starym klasztornym kościele Świętej Katarzyny. Ten sam to może, którego życie, łacińskim wysławione opisem, siostry zakonne w chwalebnej gorliwości o czystość świątyni rokrocznie na Godne Święta malują wapnem od góry do dołu tak porządnie i skutecznie, iż z peanu sławy rycerskiej widać jedynie liczne, lecz nieczytelne wgłębieńia, a i sam rycerz wraz ze swą epopeją w wapienną bryłę się zmienił i stał niejako podwaliną niemej ściany. W kapliczce leśnej można pewno i dziś jeszcze czytać napisy po ścianach, ostatni raz bielonych, — na szczęście! — przed powstaniem. Jeden z nich, wryty jakimś ostrzem, głosił słowo mało zrozumiałe: — „*Szczyt moich cierpień zrównał się z tą górą 1863*” Nie było imienia i nie było nazwiska. To jakby ów rok wszystkich — 1863 — ostrzem strzaskanego pałasa czy złamanego bagneta na niemym murze, dla nikogo, te słowa wypisał. Obok tego oświadczenia, które się stało osnową pewnej krwawej tragedii, co całkowity brulion za całe czterdzieści groszy wypełniła sobą od deski do deski, — widniały wydrapane na murze nazwiska: „Stefan Żeromski, uczeń klasy drugiej” — a niżej tuż pod tamtym: „Jan Strożecki, uczeń klasy drugiej”. O ile ów, z roku 1863, zanadto pilnie swe nazwisko zataił, o tyle my dwaj, uczniowie klasy drugiej, czyniliśmy wówczas dla uwiecznienia naszych, co się tylko dało, co było w naszej mocy. Jan Strożecki i później czynił, co się tylko dało, co było w jego mocy: w najsroższy Sybir na wytrwaną z moskiewskim caratem chodził bez trwogi, a potem, po latach walki, we Francji, godnie, jak przystało na towarzysza naszej ławy w kieleckiej szkole, zginął ratując tonącego człowieka. Ale — o Janku! — jeśli siostry zakonne, na któreś Godne Święta odmalują kapliczkę bożą u podnóża Łysicy, na leśnym skraju, i twoje jedyne epitaphium i ślad mej glorii, największego poety między Łysicą i Radostową Górą,

wniwecz pójdzie, w nieme i martwe wapno się zamieni, tak samo jako chwała rycerza w dole. Tylko konwalie i poziomki nie zapomną o wolnych duszach rycerzy. Dookoła starej kaplicy w trawach bujnych woniejąc, pchać się będą, jak zawsze na wiosnę, ku drzwiom roztworzonym, przechylać owoc rubinowy i kwiaty białe poza próg spróchniały, jakby w zbożnym zamiarze, by bojownikom, zapomnianym przez ludzi, oddać zapach swój, tymian pozgonny.

Zdobywanie przestrzeni za dni młodości za pośrednictwem mocy mięśniowej, która tak bez wysiłku dawała sobie radę z odległościami, wycisnęło swój obraz niezatarty na pojmowaniu, a raczej na uprzytomnieniu sobie wszelkich wymiarów. Miarą przestrzeni była i jest dla mnie odległość różnych miejsc w tamtych stronach. Dwie wiorsty — to polna droga z Ciekot do Wilkowa, trzy wiorsty — to gościniec z Krajna do Górna, trzy mile — to linia prosta z Kielc do Świętej Katarzyny. Każda trudna, duża i ciężka praca jakiegokolwiek natury, literacka, biblioteczna, czy inna, obrazowo i porównawczo mierzy się w mej wyobraźni, w mej sile mięśniowej i nerwowej na wysokość góry Radostowej. Jestem oto u jej podnóża, w Leszczynach, w Mąchocicach, w Bęczkowie, — jestem na pierwszym garbie, na drugim, na trzecim, — jestem niedaleko wierzchołka, — jestem na szczycie! Widzę już mój kres i mój cel: rodzinny dom! Schodzę z rozmachem w dół. Otom już u granicy naszych pól. Widzę drzwi, przekraczam próg... Upadam po trudzie na cichy i radosny spoczynek...

Jak ja, tak samo wszyscy dawni ludzie, którzy niegdyś wdzierali się na te góry i przemierzali wielkie lasy, poili się tym samym jedlanym szumem, ten sam zapach wciągali nozdrzami i tym samym czystym powietrzem napełniali płuca. Pierwszy, co wtargnął z oszczepem—li, czy z siekierą brązową w dłoni, z południa od strony Wiślan, czy z północy, od strony Mazowszan przyszedł przed czasami, które ima i swoimi sposoby utrwała dla potomnych plotka człowiecza, — drzał pewnie w sobie, patrząc struchlałymi oczyma w puszcę Łysicy. Widział bowiem wokół siebie drzewa srogie, zwartym ostępem stojące, wyniosłe, borem niedosięgłym dla szybkiego spojrzenia wyległe w dal milami. Lękliwa cześć napełniała jego duszę, gdy mierzył nieznanne i niewidziane, grube, obłe, potężne pnie, podarte od przepięknięć i okapane obarami żywicy, na sto łokci wybiegające pod niebo. Krzywymi pazurami korzeni wszczepione między omszałe, sterczące i nawalone skrzyżale, między rumowie, które zwietrzały kwarzec górski wytwarza, — spłaszczonymi koronami chwiejące się za wiatrem tam i sam — obwieszane ciemnozielonymi wieńcami igieł ulistwienia, — obarczone licznymi ramionami spławów potężnych, — pachnące balsamicznym olejem, w nasionach zawartym, — śpiewały przed nim własny poszum swój, puszczańskie wzdychanie, niemowny śpiew, który wszystko ludzkie zna i wspomina. Z ciemnej lasu głębin szedł na jego duszę, nastawał i napastował głos dawien—dawny, nieodmienny, głęboki — wysoki, ostrzeżenie i napomnienie, śmiech i płacz, дума zamierająca w pustce głuchej. A skoro zamierała nuta lasowa, wyrывało się z puszczy wycie wilka albo hukanie pochutliwe puchacza i przejmowało serce człowieka straszną

bojaźnią. Przychodzień ów tajnią czucia korzył się przed niemymi wielkodrzewami. Chciał zrozumieć wygłos ich, jakoby zagmatwany i zamazany belkot niemowy, — ażeby w nim znaleźć odpowiedź na niepewność, tajemniczość i kruchość żywota. Lecz w brzmieniu tym, podnoszącym się z milczenia i odchodzącym w milczenie, wiała nań tylko wiadomość o śmierci nagłej a niespodziewanej. To też w trwodze swej wierzył, że w boru tym tai się, kryje i oddycha wiatrem śpiewnym duch wszystkomogący, Świst—Poświst, bożyszczce śmierci. Przyjacielem mi był za dni młodości tamten pierwszy przychodzień. Lubiałem marzyć, jako się skrada tymi samymi, co ja, zaroślami, wądołami, w których te same biegną potoki, łaskawością pagórków i niziną mokrych smugów, ażeby polować na bobry brunatne, co na brzegach naszej czarnej rzeki kuliste swe chaty, żeromiona budowały, — na puszyste, kasztanowate, wysmukłe i gibkie leśne kuny, których cenne skórki były rodzajem pieniądza, — dziesięć na grzywnę, — środkiem wymiennym, — na niedźwiedzia i wilka, na jelenia i srogiego dzika, co dziesiątkowi kundłów dawał radę, gdy go stanowiły w oparzelisku, — na chytrego lisa, na krępego leniwa, czyściocha i ospalca borsuka i na sępa siadującego w widłach największego drzewa w Łysicy. Lubiałem marzyć, jak z kopami skór kunich na ramieniu przemyka się leśnymi ścieżkami, które sam jeden zna, ku Tarżkowi u brzegu rzeczki Świśliny, na skraju lasów, gdzie już do puszczy docierają z dawna karczowane jednolite pola sandomierskiej urodzajnej gliny. Tam to na targowisku starodawnym, jak pamięć ludzka zasięgnie, myśliwce i kłusownicy, ludzie leśni, ludzie dzicy, ludzie waleczni spotykali się z ludźmi z polan i równin pustych, z pól i niw, którzy siali żytnie i pszenne ziarno, melli mąkę i umieli szczepić na dziczkach owoc smakowity. Wzamian za skóry kunie, borsucze i niedźwiedzie, za wilczury i bobrowe kołnierze dostawali kowane żelazo i rzemień wyprawny, mąkę i sól, słodki owoc i wypalone naczynie. Tam także słuchali wieści o innych światach niż świat czarny. Słuchali wieści o mężach dziwnych, co w Żmigrodzie wznoszą kamienną bożnicę, wodą naród pracowity polewają i uczą miękkich zabobonów. Ludzie puszczy chętnie opuszczali targowisko na Tarżku i szli nazad ku góróm. Witali las radośnie, gdy się z góry najwyższej spadem nagłym osuwa w zimnej doliny otchlisko, niczym chmura gradowa. A gdy po jego błękitnych przegubach we wnętrzu ciemnym, dla oczu niedosięgłym, obłok biały piął się ku szczytowi wyniosłemu, radowało się bezsłownie serce ich, — serce nasze, zawsze to samo serce ludzi puszczańskich.

Kędyś daleko, za Radostową i Kamieniem, w stronie południa było inne targowisko, na wzgórzach, gdzie gródek polskiego króla ludnie wojenni zbudowali. Tam to, w podgrodziu, goście z obcej strony, kupcy przebiegli, mieli na sprzedaż za skóry kunic broń nieczystą i zmyślnie naczynia z żelaza. Z tegoż gródka, na Kielcach wzniesionego, wyszedł węgierski książę Emeryk i poniósł w rękę święty krzyż na Łysiec, gdzie już król polski, imieniem Mieczysław, a może Bolesław, przezwiskiem Chrobry, a może Krzywousty, — zbudował był kościół niewysoki, gruby, sztuką dawną grecką z kamienia postawiony. Tenże król sprowadził dwunastu braci benedyktyków, pochodzeniem i językiem Włochów, z góry Kassynu,

i w klasztorne na Łyscu osadził. Długo szedł korzenistą i piaszczystą drogą ksiązę węgierski Emeryk w towarzystwie biskupa krakowskiego Lamberta, niosąc ze sobą pięć ułamków Krzyża Świętego wprawionych w złoty krzyż o pięciu ramionach. Srogi lud leśny nie ważył się napastować tych bezbronnych pątników. Ciężyła już nad jego samowolą mocna ręka królewska, a ślady władzy tej zostały w nazwach gór: — góra Królewska, góra Książęca. Dopiero teraz, po ośmiu wiekach, podłość zbójów wróciła do swej samowoli. Ody kule wojny zburzyły wieżę kościoła na Świętym Krzyżu, ręka złodzieja wyłamała święte schronienie i zdarła złote blachy ze szczytków Krzyża, a samo święte drzewo cisnęła kędyś między brud ziemi.

Nadszedł był czas, iż ksiązę panujący w Krakowie darował łańcuch gór i błamy lasów krakowskiej biskupiej stolicy. Kasztelanie pobrzeżne w Kielcach i Tarżku stały się ostojami i siedzibami władzy nowych panów tego przestworu. Powstał w Tarżku, — z czasem Tarczkiem przezwanym, — dworzec myśliwski biskupi. Tam władcy, którzy niejednokrotnie spychali z tronu królów, zażywali puszczańskich wywczasów. Z gminu nieraz wyrosli, a dzięki cnotom, wiedzy, ogładzie, przebiegłości i znanstwu rzeczy ziemskich, w auzońskich podpatrzonemu krajach, na tak wyniosłe podniesieni siedlisko, stali się dobroczyńcami leśnej ziemi. Tworzyli nowe miasta, jak Kielce i Bodzentyn, — wśród dzicy niertzebionej dźwigali podniebne kolegiaty, wznosili zamki, wzorem włoskim zdobione, — jakoby wstęgi wysnuwali z potężnych dłoni mury obronne, — napełniali miasta rzeszami sztukmistrzów. Z górnego i środkowego Ponidzia sprowadzali osadników z sierką i sochą do trzebień i karczowania skrajów lasu w pobliżu grodu kieleckiego. Dawali wolę ludowi rolnemu w Woli Kopcowej, Radlinie, Górnice, Leszczynach, Woli Jachowej, Napięnkowie. Trzon wyższy długo jeszcze trwał po staremu. Kiedyś dopiero rolnicy podejść bliżej, wyrąbią polany, gdzie bielą się polany, gdzie bielą się Bieliny, ciągną się Porąbki i wgrzyżą się w samą Łysicę i Krajno, wiszące na skłonie wysokim. Jak niegdyś niezwytyżeni królowie i potężni krakowscy ksiązęta, tak później polowali tutaj rycerscy biskupi — Lambert, Gedko, Prandota, Bodzanta, Floryan Jelitczyk z Mokrza, Paweł z Przemańkowa, Zbigniew z Oleśnicy, Gamrat, Zadzik i inni. Otoczeni zdrowym, wyniosłym, zahartowanym w srogim klimacie, potężnym fizycznie, dzielnym i walecznym narodem górnym, gminem szczwaczów, przebiegłych i czujnych ślakowników zwierza, chytrych, jakoby cuchem psim obdarzonych kłusowników, wśród chartów, ogarów, kundlów na dziki, jamników na lisy i borsuki oraz wszelakiej innej psiarni, roznoszącej po szczytach i dolinach echa wrzaskliwe, — przebiegali puszcę odziani w pancerz, z oszczepem i łukiem w dłoni. Walczyli pierś w pierś z włochatym niedźwiedziem, rozjuszonym wilkiem i srogim odyńcem, który, ciapiąc groźnie w stanowisku, szarpał kielcami psy i martwe miotał na strony.

Tam to spoczywał onego dnia, jak głośliła jedna z powieści, potężny Bodzanta na pochyłości matki—góry. Miękkie nasuwień, szatę tkaną, wzorzystą miał powierzch napierśnych blach. Zsiadł z konia, runął na ziemię. Skinieniem dłoni odegnał zgraję

pochlebców, wesołków, błaznów i wszelakich służalców. Precz kazał zabrać psy na smycze. Z rękoma założonymi pod głowę, z nogami w skórzniach po pachwiny rozwalonymi szeroko, z oczyma zatopionymi w niebie, gdzie białe chmurki sunęły ponad przypląszczonymi głowicami, leżał na wznak. Słuchał, jak jedle niezmiernie pieśń mu wywodzą jedyną, której słuchać warto, albowiem nigdy nie wygasa i na sile nie traci, — pieśń o przepotędze i zuchwałych żądzach młodości, i o zgniłej rozpaczności starości, — o pasjach i furiach ducha rozszalałego. Wołały go ku modlitwie lecącej w niebo, gdyż przesmutnym wzdychaniem swoim trwogę poznania wszechrzeczy rzucały w jego sumienie. Wspominały mu lata minione — odpłynione, których nie wróci nikt, nigdy. Wspominały mu tajnice grzechów, w których był skowany jako kłodnik w ciemnicy. Nikt o nich nie wiedział nic, jeno te drzewa. Pobudzały go, ponęcały i powabiały ku czemuś inszemu, nieznanemu. Przyciskał do serca swego pienie ich biskup Bodzanta poprzysięgając je najmocniejszym zaklęciem, ażeby jeszcze śpiewały...

W ten to leśny kraj, jeszcze bezludny i nie zabudowany, dziedzinę biskupich łowów, gdzie synowie boru snuli się na wzór zwierząt, tropiąc i zabijając zwierzęta, oraz śmiałków, którzy by z jakimkolwiek towarem ośmielili się ciągnąć korzenistym, piaszczystym i mokrym szlakiem z podgrodzia w Kielcach ku podgrodziu Bodzentyna, — przybyli jednak nieustraszeni ludzie i między świętokrzyskimi zbójcami właśnie obok starej drogi na dobre zasiedli. Byli to anachoreci, benedyktyńscy eremici. Pobudowali sobie małe domki z pniów jodłowych, które wicher z ziemi wyrwał i na trawę obalił. Wyszukiwali miejsca przy wodzie, — ten ci przy źródle burzliwym i kipiącym wieczyście, tamten przy strumieniu, co migoce w słońcu, mieni się, połyskuje i błyszczący, a trzeci jeszcze niżej, nad potokiem zarośniętym tarniną, kalinami i gąszczem leśnych malin, gdzie srokosze kują swe dzwonne pieśni, a zatajona kędyś kukułka zabawia się w chowanego. Domki ich do dnia dzisiejszego przetrwały, zamienione na przydrożne kapliczki, gdy eremitów nie stało, pamięć o nich wygasła, i gdy już nikt nie wie, nie pamięta, nie rozumie, czemu to tutaj właśnie stoją te puste chatki boże. Owocześni przybysze nie lękali się niczyje j napaści, gdyż nie posiadali nic zgoła, co by się dało zrabować. Pustelnicy ci prowadzili życie ostre, wstrzymując się po lat kilka, w największe nawet święta, od pokarmów mięsnych, niełatwo przyjmując, i to czasem tylko, — jałmużnę. Służyli ludziom ciągnącym tymi stronami poprzez Kamień Kraiński, czy brzegiem rzeki, — za przewodników i udzielali noclegu zbłąkanym we wielkich lasach. Pierwsi też pewnie rozmawiali z myśliwcami i osadnikami o tajemnicy bytu i śmierci. Gdy pierwszy anachoreta, pono Włoch rodem, przybył w tę puszczyść ciemnozieloną, szum jedlany wspominał mu pewnie niebo południa, widok Kampanii neapolitańskiej, błękitne wyspy w błękitnym morzu, widzialne jako skupienia mgły z góry Cassino, — albo zachylenie ziemskie najwdzięczniejsze na ziemi, gdzie morze w ląd się wlewa obok Santa Margherita Ligure, — ul mnichów. Wspominał mu srebrzystość drzewa oliwy, co spływa ku szkarłatom róż w dole, róż, co wydają ze siebie *Santa Rosa Mistica*, — ku drzewom czereśni i migdału, różowiejącym i bielejącym za dni marcowych. Posępnic

i żal ogarniały duszę człowieka z tamtych kwiatnych i wonnych krain, a dziki urok lasu północy obcy mu był i wrogi. Lecz siła ducha i niezłomna wola kazała w umartwieniu i modlitwie szukać lekarstwa na posępnice i żal. Nad chatą ciemnozielona puszcza szatański zawodziła świst—poświst i wypędzała go stela. Toteż, gdy nie było już dłań powrotu, uciekał w górę, wyżej, coraz wyżej, ponad żądze cielesne, ponad naturę ludzką, ponad naturę anielską, do wyciągniętych objęć Człowieka—Boga.

Być może, iż jeden z tych to anachoretów, co polskiej był krwi i mowy, a siedł z rodu ludzi dostojnych, mówił do zgromadzenia ludzkiego zrozumiałym polskim językiem owo kazanie o świętej Katarzynie, które jest najdawniejszym zabytkiem pisanym tej starej mowy. Istniał—li już wtedy kościółek ku czci tej świętej wzniesiony między eremami? Darowany najprzód zakonowi bernardynów, a później zakonowi sióstr bernardynek, przetrwał stulecia. Siostry zakonne nauczyły lud okolicznych wsi czytać i pisać, robót ręcznych i rzemiosł. Zasadziły za klasztorem swym ogród ozdobny, gdzie lilie najcudniejsze na ziemi zakwitają w czerwcowe niedziele, ażeby zdobić ołtarz wielkiej męczennicy Katarzyny, — i gdzie wychylały się ponad mur wysoki kwitnące drzewa jabłoni. Potok w łożysko ujęty ze szmerem przelewał swe wody wskroś ogrodu, a wielki, ciemny las trzymał w swym łonie ten rozkwitły wirydarz.

Lecz stare bóstwa domowe, leśne i polne nie pomarły. Strzygi i zmory, kostusie i morzyska siedzą u progów, w węglach i na poddaszach. Zły hasa drogami, czatuje na krzyżowych i wałęsa się wokoło domostw. Mór w złe czasy wlecze się kolejami dróg, choć mu je zagradzają osinowe krzyże. Wiara nie do wytrzebienia, głucha, ciemnonocna, leśna, swoja, skrycie ciągnie się wsiami, koleinami, co teraz wdarły się aż pod szczyt Radostowej i na samą przełęcz Kamienia, co rozsiadły się, jak Klonów lub Psary, na wyrąbanych polanach boru. Grasują wciąż jeszcze czarownice, cioty i widmy, latają na szczyt Łysicy po tajemnicze zioła, rzucają urok i sprowadzają nieszczęście. Odczyniają wszelkie choroby i uroki nieomylni, rodowici wróże, lecząc starymi sposobami, — zamawianiem według formuł dawnych, niezrozumiałych, na podstawie splotów włosów, kawałków odzieży z wisielca, widełek nietoperza, mchu z krzyża na rozstajnej drodze, wody wrzącej, węgla lub chleba.

Przyrosły czary nowe. Gdy stary zakonnik, kapelan u Świętej Katarzyny, w czasie podniesienia dźwigał na wysokość oczu ciężką złotą monstrancję i wśród błękitnych dymów kadzidła patrzył w ciżbę ciasno w kościółku stłoczoną, — chowali się jeden za drugiego i kryli twarze w dłoniach starzy „chłopcy” świętokrzyskich wiosek, co ta na sumieniu mieli przecie niejedno. Mówili bowiem szeptem najstarsi, że wtedy stary brat Kazimierz przez Przenajświętszy Sakrament widzi każdą zbrodnię ludzką, jak na dłoni. Strach wielkooki siedł między chłopcy.

A któż ciebie wypowie, co moc twoją uprzytomni, pieśni potęgo: „Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny — zmiłuj się nad nami!” — gdy ją ze siebie wyrzucali tłumem, gromadą, wsiami, wtłoczonymi w odwieczny, grubomury, niski, mały

kościół Świętej Katarzyny! Prosimy się po chłopsku, nisko, u kolan Boga — „Od powietrza, głodu, ognia i wojny — Zachowaj nas, Panie! — My grzeszni Ciebie Boga prosimy...”. Nie wyprosimy się od wojny! Przyszła sroga i straszna. Sroższa i cterykroć dłuższa niż samo Powstanie. Jakoby gradowa burza przelatywała z kołatem i łoskotem ponad górami wysokimi i nad niskością chałup. Przychodziły z siekierami podłe Austriaki, żeby ciąć głucho lasy, których nawet bury Moskal nie ważył się tykać. Lecz obroniła się dzika strona swymi wyrwami, kamienistością dróg, wąwozami górnymi z pieca na łeb, po których nawałnica swego czasu wody puszcza. Nie dosięgły Łysicy! Przyszła znowu na swe miejsce Polska. Nie zamienili Moskale klasztoru Świętej Katarzyny na koszary konnicy, jak to było w ich planie, i nie przyłożył Austriak siekiery do korzenia lasów. Stoi oto wciąż dom boży. Widać ze wszech stron białą jego wieżę w dolinie fiołkowej od lasów, co z dała i z bliska ciągną ku niemu wielkimi pasmami. Jest jakoby zwornikiem, w jedność ujmującym wielorakie pustkowie. Oko przybiega z obszarów i spoczywa na jego białym kształcie, a wyrzeźbiony w źrenicy, zachowuje w sercu na zawsze.

Żyj wiecznie, świątńco, ogrodzie lilij, serce lasów! Przeminięły nad tobą czasy złe, złane ludzką krwią. Ciągną inne, inne. Lecz któż może wiedzieć, czy z plemina ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, nie wyjdą znowu drwale z siekierami, ażeby ściąć do korzenia macierz jodłową na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu lub czyjegoś niezbędnego zysku. Jakiebądź bytoby prawo, czyjekolwiekby było, do tych przyszłych barbarzyńców, poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: — nie pozwalam! Puszcza królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków, jako las nietykalny, siedlisko bożyszcz starych, po którym święty jeleni chodzi, — jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i żywa pieśń wieczności. Puszcza jest niczyja — nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta!

[S. Żeromski, *Puszcza jodłowa*, Wydawnictwo J. Morkowicza, Warszawa—Kraków 1926; interpunkcja, pisownia i wyróżnienia oryginalne]